

03.03.2014

Legenda o Białej Karczynie koło Olkusza

autor: szkieletek

Nieopodal słynącego z kopalń srebra i ołowiu Olkusza znajduje się niewielka wioska, zwana – zapewne od mieszczących się tu niegdyś pieców do wytopu rud cynku i ołowiu – Hutkami.

Las położony na jej północnych obrzeżach nosi do dziś dość intrygującą nazwę: Biała Karczma. Miano to jest o tyle zaskakujące, iż w pobliżu uroczyska nie znajduje się żaden ślad po jakiegokolwiek ludzkiej osadzie, a wśród zieloności można odszukać jedynie bagniste i niezbyt przyjaźnie wyglądające śródleśne jezioro, o którym krąży miejscowa, zapomniana już nieco legenda, przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Przed wiekami, gdy okolice te porastały podmokłe, nieprzebyte knieje i lasy, nieopodal traktu wiodącego ze Śląska przez Sławków i Olkusz aż do Krakowa znajdowała się karczma, jedyny bezpieczny przystanek dla znużonych drogą kupieckich taborów.

Strudzony wędrowiec mógł w niej odpocząć przed dalszym marszem, posilić się, napoić konie, a nawet przenocować na poddaszu. Ściany karczmy gospodarz pomalował na biało, dzięki czemu budynek widoczny był wśród drzew już z daleka i przez co zyskał swą nazwę – leśną gospodę nazywano bowiem zwyczajowo Białą Karczmą.

Pewnego dnia, tuż przed Wielką Nocą, w czasie Wielkiego Postu, kiedy to na kupieckich duktach panował wzmożony ruch, w progi Białej Karczmy wstąpił bogaty mieszczanin, spieszący z towarem z Krakowa do Siewierza. A towar ten miał przebogaty. Czegóż tam nie było: drogie kamienie, sznury pereł i bursztynów, srebrne i złote wyroby najlepszych podwawelskich rzemieślników... Aż dziw brał, że człowiek ten odważył się podróżować samotnie przez bezludzia, niosąc ze sobą tak kuszące ludzki umysł bogactwa, a w dodatku tak nieroztropnie się nimi chwalił.

Karczmarz, człowiek bardzo jeszcze młody i dość niezaradny, patrzył łakomym okiem na kupieckie towary. Dopiero co ożenił się, a jego żona miała niebawem spodziewać się dziecka. Mężczyźni zamarzyła się rozbudowa zabudowań tak, by mogły one wygodnie pomieścić jego rodzinę. Tymczasem – jak na złość - pieniądze jakoś nie chciały się mnożyć, dach na gospodarze przeciekał, a w dodatku jedna z dwóch krów zachorowała na jakąś dziwną chorobę i przestała dawać mleko.

Mimo kłopotów gospodarz Białej Karczmy ugościł jednak podróżnego z Krakowa jak należy: nakarmił go, napoił domowym, mocnym winem. Następnie ciepło i wygodnie ulokował go do snu. Kupiec zasnął ufnie i smacznie, mocno ściskając w dłoni zawieszony na szyi klucz do kufereka z bogactwami, który przezornie ulokował sobie pod głową.

Młody karczmarz zasnąć jednak nie mógł. Przed oczami wciąż migotały mu skarby, skryte w drewnianej skrzynce kupieckiej. Tak bardzo chciał poprawić byt swej rodziny, że gotowy był zrobić wiele. Bardzo wiele.

Nawet posunąć się do morderstwa...

I stało się tak, że mężczyzna ów wkradł się do sypialni kupca i poderżnął śpiącemu gardło. Z szyi zabitego zerwał upragniony klucz, spod głowy zabrał kuferek. Ciało zabitego wywlekł cichaczem za zabudowania i pogrzebał pod rozłożystym dębem. Skrzynkę z bogactwami skrzętnie ukrył w stodole.

Rano żona karczmarza, nieco zaniepokojona nieobecnością gościa, dopytywała się o kupca, jednak mąż zapewnił ją, że podróżny opuścił ich gospodę zanim wzeszło słońce, a w dodatku nie uścił należnej zapłaty. Kobieta rozgniewała się na nieznanego i nie wracała już więcej do jego tematu, zapominając zupełnie o całym zdarzeniu.

Mijały dni.

W stajni Białej Karczmy pojawiła się nowa krowa oraz kilka kurek. Gospodarz nakupił klepek drewnianych i zaczął pokrywać dach prawdziwym gontem, usuwając przez tak bardzo znienawidzoną, przegniłą i przeciekającą słomianą strzechę. Żona karczmarza nie mogła się nacieszyć zmianom, z podziwem spoglądała to na męża, to na coraz lepiej funkcjonujący wyszynk, to na swój mile dla oka powiększający się brzuszek. Marzyła o synu, potomku, który mógłby przejąć w przyszłości rodzinny interes i zaopiekować się Białą Karczmą przez kolejne dziesięciolecia.

Kiedy jednak nadszedł dla kobiety czas rozwiązania zdarzyła się rzecz straszna – dopiero co powite dzieciątko zmarło zaraz po porodzie! Dosłownie w ostatniej chwili ojciec zdążył mu główkę wodą pokropić, ratując niewinną duszyczkę synka przed potępieniem.

Rozpacz zapanowała w domu karczmarza, zwłaszcza, że mimo wielomiesięcznych starań karczmarka za nic nie mogła ponownie wejść w stan błogostawiony.

Sam karczmarz chodził zamyślony, zmartwiony i przygarbiony, jakby go coś okropnie trapiło. Włosy opruszyła mu siwizna. Rodzinny interes podupadł, gdyż podróżni zaczęli wręcz unikać Białej Karczmy i jej ponurych, smętnych i niemiłych właścicieli.

Miesiąc mijał za miesiącem, rok za rokiem. Dręczony wyrzutami sumienia za popełnioną w przeszłości zbrodnię karczmarz opowiedział wreszcie swej żonie o morderstwie, którego się dopuścił. Ta, przerażona śmiertelnie, tak długo lamentowała i biadoliła, że mężczyzna wreszcie zebrał się na odwagę i ruszył do olkuskiego kościoła, do spowiedzi. Wyznał w konfesjonale swój ogromny grzech i wyraził szczerą skruchę, zalewając się przy tym łzami.

Ksiądz litościwie odpuścił mu zbrodnię, ale wyznaczył stosowną pokutę. Rozkazał przeznaczyć okrągłą sumę pieniędzy na olkuską świątynię i rozdać pozostały majątek biednym i potrzebującym oraz zaznaczył, by zamordowanemu nieszczęśnikowi sprawić godziwy grób zwieńczony krzyżem i codziennie odmawiać przy nim koronkę za zmarłych. Poleciał przy tym nasłuchiwać wśród szumu liści głosu zamordowanego kupca i tego, co też będzie on chciał przekazać swemu mordercy.

Karczmarz powrócił do Białej Karczmy z lżejszym sercem. Natychmiast zabrał się do roboty. Nieszczęsnemu kupcowi usypał przyzwoity kurhanik z krzyżem. Odtąd modląc się tam codziennie nasłuchiwał słuchał liści, tak jak mu ksiądz nakazał przy spowiedzi.

Pewnego poranka liście szumiały tak: "Zmiłuj się, Panie i zemścij się za mnie na moim mordercy!" A głos z nieba odpowiedział: "Za trzydzieści lat albo zemszczę się na twoim zabójcy, albo daruję mu winę na wieki". Usłyszawszy to karczmarz spokojniejszy wrócił do żony. Zgodnie z obietnicą wysłał na plebanię odpowiednią kwotę, jednak reszty majątku nie rozdał, zostawiając go sobie.

Minęło kilka lat. Biała Karczma funkcjonowała doskonale, przynosząc krociowe zyski. Małżonkom powodziło się bardzo dobrze, zwłaszcza, że karczmarka, ku ogromnej radości męża, była znowu przy nadziei. Tym razem poród obył się bez komplikacji. Dziecięciu dano na chrzcie na imię Jan. Chłopak rósł szybko i zdrowo, wkrótce zaczął pomagać ojcu i matce w prowadzeniu gospodarstwa.

Czas biegł spokojnie, podróżnych nie brakowało, a Biała Karczma stała się bardzo lubianym i licznie

odwiedzanym wyszynkiem, najsłynniejszym w całej okolicy. Nieraz bawiono się w jej progach do białego rana, pito, śpiewano, tańczono. Tymczasem położona pod starym dębem mogiła, o której wszyscy już dawno zapomnieli, zarosła barwinkiem i pokrzywą. Drewniany krzyż spróchniał i w końcu się przewrócił ze starości.

Od czasu morderstwa upłynęło trzydzieści lat. Oczywiście nikt z rodziny karczmarza już o zbrodni nie pamiętał. W gospodzie akurat trwała wyjątkowo huczna zabawa: oto młody karczmarzyk Jan żenił się właśnie z Bogną, piękną dziewczyną z Bolesławia. Grała muzyka, tańczono i śpiewano, nie zwracając zupełnie uwagi na to, na czas godów bezbożnie wybrano okres Wielkiego Postu.

Gdy wybiła północ i właśnie miano przystępować do oczepin, matka pana młodego nagle, nie wiedzieć dlaczego, przypomniała sobie o obietnicy usłyszonej przez starego karczmarza na mogile zabitego podróżnego. Rzekła więc do męża:

"Wiesz, czy to nie dziwny przypadek? Oto dziś właśnie mija trzydzieści lat od kiedy Pan Bóg obiecał ci odpuścić twój grzech."

Zaledwie skończyła mówić te słowa, rozległ się wokół ogromny huk i cała karczma wraz z gospodarzami, Młodą Parą, orkiestrą i weselnikami zapadła się pod ziemię.

Powstałe po niej zapadlisko szybko wypełniła woda, tworząc posępne, istniejące do dziś jeziorko.

Ludzie, spieszący rankiem na Drogę Krzyżową zastali w miejscu Białej Karczmy już tylko gładką tafłę mętnej wody. Odtąd czyniąc znak krzyża z przerażeniem mijali to przekłete miejsce, w którym niegdyś dokonano morderstwa oraz nie poszanowano świętości Wielkiego Postu.

I chociaż od tamtych wydarzeń minęły setki lat, zwyczajowa nazwa osady przetrwała do dziś – Białą Karcznię można bez trudu odnaleźć na co dokładniejszych, współczesnych mapach. Bardzo długo nikt nie chciał z własnej woli zamieszkać w pobliżu przekłetej jeziora, gdzie ponoć "złe straszycło", chociaż okolica obfitowała w bogate złoża minerałów.

Franciszek Żelichowski, lokalny poeta, tak pisał o tym stawie:

Pamiętam ten staw od dawna jako grzęzawisko
Omijałem go z daleka nie podchodząc blisko.
Ostrzegali mnie ludzie: miej się na baczności
Bo nie jeden tu już śmiałek pogrzebał swe kości

Mówiono, że człowieka coś jakby tam wodzi
Że najwięcej utopionych to są ludzie młodzi
Nie byli świadomi nieszczęścia, jakie się tam kryje,
Zapadali się w bagno aż po samą szyję.

Podobno sytuacja zmieniła się diametralnie dopiero, gdy osiedlono w pobliżu Białej Karczmy przestępców, którzy za karę musieli pracować przy wydobywaniu rudy. Do dziś przysiółek podolkuskich Hutek, w którym przyszło im przebywać, nazywany jest nie inaczej, jak "Karna".

A niektórzy z okolicznych mieszkańców twierdzą nawet, że jeśli kto zbierze się na odwagę i w czas Wielkiego Postu przyjdzie nad zakazane jeziorko nocą, usłyszy dobiegającą z jego dna weselną muzykę.

Jakoś nie uśmiechało mi się jednak do tej pory sprawdzanie tych rewelacji osobiście.

Konkurs